

Ilia If
Jewgienij Pietrow

Niezwykłe historie z życia miasta Kołokołamska

wybór opowiadań
część pierwsza

1928-1929

Tytuł oryginału:

Необыкновенные истории из жизни города Колоколамска

ISBN 978-83-944471-7-5

© for the Polish edition by

Instytut Filologii Wschodniosłowiańskich

Poznań 2025

Przekład:

Oliwia Frątczak, Monika Jachnik, Klaudia Kowalska, Maja Krasińska,

Ludmiła Kukucka, Makary Pelc, Szymon Przyworski,

Jakub Purzyński, Tatyana Rudz, Zuzanna Zawodna

Redakcja:

Krzysztof Tyczko

Ilustracje:

Monika Jachnik

Pomysł, koordynacja i przygotowanie tekstu do publikacji:

Krzysztof Tyczko

Wydawca:

Instytut Filologii Wschodniosłowiańskich

Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

al. Niepodległości 4, 61-874 Poznań

Niniejszy tekst powstał w ramach zajęć z przekładu artystycznego prowadzonych w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskich na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w roku akademickim 2024/2025 i składa się z pięciu opowiadań zawartych w tytułowym tomie Ilii Ilfa i Jewgienija Pietrowa. W kolejnych latach planowany jest przekład pozostałych sześciu opowiadań z tomu.

Autorzy wraz z Koordynatorem serdecznie dziękują Dyrekcji Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskich za otwartość i przychylność.

SPIS TREŚCI

NIEBIESKI DIABEŁ	6
GOŚĆ Z AMERYKI POŁUDNIOWEJ	11
WASYLIŚŁAW ŁACHANIA	17
MIASTO I JEGO OKOLICE	22
STRASZNY SEN	27



NIEBIESKI DIABEŁ

We wrześniu do Kołokołamska powrócił doktor Grom, który wybrał się do Moskwy w sprawach handlowych. Doktor utykał i – wbrew swojemu zwyczajowi – miał pokonać drogę ze stacji piechotą, przyjechał do domu dorożką.

Obywatelka Grom nie kryła swego zdumienia tym faktem. Gdy zaś dostrzegła na lewym bucie męża jasny prążkowany ślad po oponie, jej zdumienie wzrosło jeszcze bardziej.

– Wpadłem pod automobil – oznajmił radośnie doktor Grom. – A potem się procesowałem.

I tak, barwnie upiększając swą opowieść nieistotnymi szczegółami, doktor, człowiek interesu, przedstawił żonie historię swego niezwykłego szczęścia.

W Moskwie, przy rogate Twerskiej, piszcząc oponami, fortuna zwróciła się ku doktorowi Gromowi. Blask jej był tak oślepiający, że biedak runął na ziemię. Dopiero podnosząc się, zrozumiał, że właśnie wpadł pod samochód. Doktor zachował jednak zimną krew, oczyścił zabrudzone spodnie i krzyknął:

– Zabili!

Z niebieskiego Packarda, który gwałtownie wyhamował, wyskoczył mężczyzna w schludnym meloniku i szofer z brązowymi wąsami. Pstrokata flaga niewielkiego sąsiedniego państwa trzepotała nad chłodnicą wozu, który znalazł się w centrum tego całego zamieszania.

– Zabili! – krzyknął doktor Grom, zwracając się do zgromadzonych gapiów.

– A ja go znam! – odezwał się czyjś dziarski głos. – To ambasador Kłątwił! To on!

Rozprawa sądowa odbyła się nazajutrz i na mocy wyroku kłatewska ambasada zobowiązana była wypłacać doktorowi za wyrządzone mu obrażenia po sto dwadzieścia rubli miesięcznie.

Z tej okazji doktor Grom biesiadował wraz z przyjaciółmi w Kołokołamsku przez trzy dni i trzy noce z rzędu, zaś pod koniec hulanki zauważono, że zniknął bezrobotny cukiernik Aleksiej Jelisiejewicz.

Nie zdążyły jeszcze ucichnąć zachwyty z powodu szczęśliwego obrotu spraw doktora Groma, gdy Kołokołamsk ogarnęła kolejna sensacja. Wrócił Aleksiej Jelisiejewicz. Okazało się, że był w Moskwie, gdzie czystym przypadkiem wpadł pod niebieski automobil kłatewskiej ambasady i przywiózł wyrok sądu.

Tym razem ambasada zobowiązana była wypłacać cukiernikowi za wyrządzone mu obrażenia po sto czterdzieści rubli miesięcznie, jako że dźwigał na swych barkach ciężar licznej rodziny.

Z radości cukiernik wytoczył ludowi beczkę piwa. Cały Kołokołamsk strząsał z wąsów pianę i wychwalał ofiarę ruchu ulicznego.

Tydzień później pojawiła się trzecia ofiara. Był to kierownik kursów deklamacji i śpiewu Syndyk-Buhajewski. Człowiek ten działał z właściwą sobie bezpośredniością – wyjechał do Moskwy, udał się prosto pod bramę kłatewskiej ambasady, a gdy tylko automobil wytoczył się na ulicę, podłożył swoją nogę pod koło. Syndyk-Buhajewski odniósł dość poważne obrażenia i otrzymał sturublową rentę aż po kres swych dni.

Wówczas kołokołamczycy pojęli, że ich miasto wkroczyło w nowy, najszcześniejszy okres swej historii. Odkrytą przez doktora Groma żyłę złotą obywatele zaczęli eksploatować z wielką gorliwością.

Na zarobek do Moskwy ruszyły całe rzesze ludzi – pełni doświadczenia starcy, młodzi prywaciarze, uczniowie kursów deklamacji i szanowani pracownicy. Szczególnie zafascynowali się tym interesem miejscy dorożkarze

w niebieskich żupanach. Przez pewien czas w Kołokołamsku nie można było znaleźć ani jednej dorożki – wszyscy woźnice udali się na zarobek. Z tobołkami za plecami wpadali pod kłątewski automobil, odchorowywali swoje w szpitalach, po czym skrupulatnie pobierali od ambasady ustaloną kwotę.

Tymczasem w Kłątwwi wybuchł niebywały kryzys finansowy. Wydatki na utrzymanie ambasady wzrosły do tego stopnia, że trzeba było obciąć pensje urzędnikom państwowym i zmniejszyć armię z trzystu ludzi do piętnastu osób. Ożywiła się opozycyjna wobec rządu partia chrześcijańskich socjalistów. Przewodniczący rady ministrów, pan Edgar Pawiainien, nieustannie znajdował się pod ostrzałem ataków lidera opozycji pana Suupa.

A gdy pod kłątewski automobil wpadł trzydziesty z kolei obywatel miasta Kołokołamska, Nikita Psow, i – by pokryć jego odszkodowanie – zamknięto państwową operę, wzburzenie w kraju sięgnęło zenitu. Spodziewano się puczu ze strony kliki wojskowej.

Do izby wniesiona została interpelacja:

– Czy panu przewodniczącemu rady ministrów wiadomo, że kraj znajduje się na krawędzi upadku?

Na co pan przewodniczący rady ministrów odparł:

– Nie, pierwsze słyszę.

Jednak mimo tej uspokajającej deklaracji, Kłątwwia musiała zaciągnąć pożyczkę zagraniczną, która i tak została pożarta przez kołokołamczyków w przeciągu jakichś dwóch miesięcy.

Szofer kłątewskiego automobilu, w którym cały naród pokładał nadzieję, dokonywał cudów ostrożności, jednak kołokołamczycy niezwykle wprawili się w swym zaskakującym rzemiośle i doskonale wpadali pod automobil. Opowiadano, że ów szofer uciekał niegdyś przed pewnym kołokołamskim diakonem przez trzy przecznice, ale szczwany sługa kultu przebiegł przez podwórze i mimo wszystko zdołał rzucić się pod samochód.

Kołokołamczycy targali Kłatwię po sądach. Kraj chylił się ku upadkowi.

Z nadejściem pierwszych mrozów do Moskwy pofatygował się przewodniczący łżespółdzielni „Swójtrud”, monsieur Szczerow. Długo się wahał i pochlipywał, jednak żona była bezlitosna. Zwracając mężowi uwagę na rychłe wzbogacenie się współobywateli, oznajmiła:

– Jeśli ty też nie pojedziesz, rzucę się pod pociąg.

Odprowadzało Szczerowa całe miasto, a gdy wsiadał do wagonu, kołokołamczycy, którzy dorobili się już na fusze, krzyczeli:

– Głowy nie nadstawiaj! Wóz ciężki! Podstaw tylko nóżkę!

Szczerow wrócił po dwóch dniach z zabandażowaną głową i wielkim, niczym kleks z atramentu, siniakiem pod okiem oraz bezwładną lewą ręką.

– Ile? – zapytali współobywatele, mając na myśli wysokość renty z wychudzonego kłatwijskiego skarbu.

Jednak prezes łżespółdzielni zamiast odpowiedzieć, bezgłośnie zapłakał. Wstydził się przyznać, że przez pomyłkę rzucił się pod automobil spółki metali kolorowych, że szofer w porę zahamował, a potem długo okładał Szczerowa po głowie i rękach amerykańskim kluczem płaskim.

Wygląd monsieur Szczerowa był tak przerażający, że kołokołamczycy przestali dorabiać sobie w ten sposób.

I tylko to ocaliło Kłatwię przed ostateczną ruiną.

Miasto znów pogrążyło się w letargu, a jego spokojne, prowincjonalne życie trwało tak długo, dopóty z Argentyny do Kołokołamska nie przybył nadzwyczajny dżentelmen w garniturze z różowego sukna.



GOŚĆ Z AMERYKI POŁUDNIOWEJ

W niedzielę rano na ulicy Wielkiego Komitetu Miejscowego pojawił się jegomość, jakiego dotąd w Kołokołamsku nie widziano. Miał na sobie garnitur z różowego szewiotu i krawat w gwiazdki. Dookoła jegomości rozciągała się mocna woń prerii. Rozglądał się niepewnie na wszystkie strony, a po jego okrągłej twarzy spływały perłowe łzy wzruszenia. Za osobliwym obywatelem toczył się wózek z walizkami w przeróżnych kolorach pchany przez dworcowego bagażowego.

Dotarłszy do placu Członkowskiego, pochód wstrzymał kroku. Stąd rozciągał się tak zachwycający widok na miasto Kołokołamsk i opływającą je rzekę Zbruję, że różowy jegomość głośno zapłakał. Z grzeczności zaszlochał też bagażowy. Przy okazji wyzionął duszący zapach wódki.

W takim stanie po godzinie zastał ich prezes Łżespółdzielni „Swójtrud” monsieur Szczelow, który przechodził akurat przez plac Członkowski celem załatwienia spraw spółdzielni.

Zatrzymawszy się dziesięć kroków od nieznajomego, Szczelow zapytał ze zdziwieniem:

- Pardon, gdzie pan dostał taki garnitur?
- W Buenos Aires – odparł szlochający jegomość.
- A krawat?
- W Montevideo.
- Kimże pan jest? – wykrzyknął Szczelow.
- Jestem kołokołamczykiem! – odparł dżentelmen. – Jam Horacio Fiedorienkos.

Zachwytom prezesa łżespółdzielni nie było końca. Ścisnął różowego tłusćciocha za talię, podnosił w powietrze, głośnie całował i równie głośnie zadawał pytania.

Po dziesięciu minutach Szczerow wiedział wszystko. Trzydzieści lat temu Gierasim Fiedorienko wyjechał z Kołokołamska, odnalazł złoża diamentów i nieprawdopodobnie się wzbogacił. Błądząc jednak po stepach Ameryki Południowej, marzył, by choć raz spojrzeć na rodzimy Kołokołamsk. I oto jest – i oto płacze ze szczęścia.

Przyjęcie na cześć rodaka odbyło się w sali ankietowej zmilitaryzowanych kursów śpiewu i deklamacji. Horacio Iwanowicz wypełnił ankietę honorową oprawioną w szewrową teczkę i ucałował się z kierownikiem kursów Syndykiem-Buhajewskim. Podczas nieoficjalnej części uroczystości Fiedorienkos zatańczył ruską plaskę. Płasał i lekko przytupywał kauczukowymi podeszwami, a o świcie, wzruszony, postanowił uczcić przyjazd do rodzinnego miasta budową trzydziestodwupiętrowego drapacza chmur dla swoich współobywateli.

– Gada od rzeczy– mówili kołokołamczycy, kręcąc głowami na gościa. – Co jak co, ale z tym drapaczem to farmazony plecie! Nie mogą być takie chałupy w naturze.

Jakież było ich zdziwienie, gdy już po tygodniu na Placu Członkowskim pojawiły się dźwigi. Wielkie rzesze techników, inżynierów i robotników zjechały się z dużych ośrodków miejskich. Budowę kierował sam Horacio, a ubrany był w niebieski, płócienny kombinezon i rzeczowo przeklinał w dziwnej mieszance języka rosyjskiego i hiszpańskiego.

Kołokołamczycy z drwiną spoglądali na budowę. Krążyli wokół wznoszonego budynku z miną nieco obrażonych solenizantów i zadowalali się kradzieżą materiałów budowlanych na opał oraz uwagami, że prace posuwają się zbyt wolno.

Pod koniec drugiego miesiąca wieżowiec był prawie gotowy. Trzydzieste drugie piętro sięgało chmur. Głęboko pod ziemią kończono montaż silników elektrycznych. Kwadratowe szyby okien dolnych pięter odbijały gęste lasy i jeziora okolic Kołokołamska, a w oknach dwudziestego piątego piętra było widać nawet odbicie odległego o 180 kilometrów miasta gubernialnego.

Trzeba było jeszcze zamontować centralne ogrzewanie, wstawić w ubikacjach porcelanowe sedesy i podłączyć kuchenki do ogólnej sieci elektrycznej. Oprócz tego brakowało wielu detali, bez których życie w wielkim budynku jest nie do zniesienia.

W tym właśnie czasie rozeszła się wieść, że w nocy do wieżowca na własną rękę wprowadził się Nikita Psow z całym swoim dobytkiem i psem na łańcuchu. Mówiono, że Nikita zajął najlepsze mieszkanie. Budę z psem na łańcuchu umieścił na swoim półpiętrze.

To wystarczyło, by płonący z niecierpliwości kołokołamczycy niczym lawa włali się do nieukończonego budynku, aby zająć mieszkania. Po drodze przewracali monterów i budowniczych. Na próżno Horacio Fiedorienkos apelował do obywateli o zachowanie rozsądku. Z odkrytą głową stał u frontowych drzwi obitych blachą miedzianą i krzyczał:

– Milicjos!

Wdzierający się do domu obywatele tylko się śmiali i nader boleśnie popychali Horacio Iwanowicza etażerkami i tapczanami. Fiedorienkos wyjechał, lecz nikt nawet tego nie zauważył.

W nowym domu pomieścił się cały Kołokołamsk ze wszystkimi mieszkańcami, piwiarniami, urzędami, bydłem rogatym i drobiem. W centrum domu, na szesnastym piętrze, rozmieszczono komisariat milicji i liczne buduary wytrzeźwień dla obywateli.

Na żądanie kołokołamczyków piwiarnie zostały rozdzielone równomiernie po całym budynku, a dla szybszego dotarcia do nich zezwolono na korzystanie

poza kolejnością z wind osobowych. Windy ekspresowe jako najbardziej pojemne przeznaczono do przewozu bydła. Każdego ranka pastuch spędzał krowy do wind i zwoził je na dół – na pastwisko.

Początkowo uradowani obywatele bez umiaru oddawali się świętowaniu. Krążyli po drapaczu chmur metodycznie jak krwinki w krwioobiegu: z mieszkania do najbliższej piwiarni, stamtąd do buduaru wytrzeźwień, następnie na komisariat milicji w celu sporządzenia protokołu, potem na pierwsze piętro sądzić się i wreszcie na 29 piętro zwane więziennym.

Minęły święta, wróciły dni powszednie. Rankiem na wszystkich piętrach stukały siekiery. Kołokołamczycy rąbali drewniane ścianki działowe i palili nimi w kozach przywiezionych ze starych mieszkań.

Z rur niedokończonego centralnego ogrzewania robili łóżka. Miedziane okucia drzwiowe szły na wyrób zapalniczek. Tę rzemieślniczą produkcję kołokołamczycy sprzedawali następnie w mieście gubernialnym. Na lakierowanych poręczach schodów suszyło się pranie, a na marmurowych podestach wzniesiono drewniane wychodki.

Nikita Psow, mieszkaniec 19 piętra, tęskniąc za swobodnym kołokołamskim życiem, wlażł kiedyś, by narąbać drewna, do windy. Siekierą zahaczył o jakiś przycisk i winda ruszyła. Nieustannie latał w swojej klatce w górę i w dół. Obywatele zbiegli się na marmurowe schody i ze zdumieniem patrzyli na oszalałą maszynę. W ich oczach malowała się nieufność do techniki. Obywatelka Psowa, głupia baba, biegła za windą w dół i w górę i krzyczała:

– Nikita! Choć klucz od chałupy oddaj! Wleźć do środka nie idzie!

Drzwi do mieszkania Psowów wyłamano. Ponieważ nie było czym ich zamknąć, mieszkanie tej samej nocy zostało ogołocone przez złodziei. Podejrzenie padało na piąte piętro – niezwykle podejrzane i już nazywane Kruczą Słobódką.

Dopiero wieczorem drugiego dnia udało się zatrzymać windę. W tym celu trzeba było zepsuć prądnice. Dom pograżył się w mroku. Wyciągnięty z windy półżywy Nikita Psow wrogo jęknął:

– Nie potrzeba nam takich domów! Wszystko przez tego międzynarodowego dżentelmena!

Kiedy zaś zobaczył swoje splądrowane mieszkanie, natychmiast wyprowadził się z wieżowca do starej chałupy, rozbiwszy uprzednio kamieniami wszystkie szyby w znienawidzonej Kruczej Słobódce. Gnani chłodem słobódzcy siłą wtargnęli na szóste piętro, gdzie mieściły się niezwykle rozbudowane kursy deklamacji. Uczniowie-deklamatorzy przeszli na stronę chuliganerii. Na ciemnych schodach zaczęły się napady rabunkowe. Z samotnych kołokołamczyków ściągano kozuchy i kalosze.

Na mieszkanie Szczzerowów na 32 piętrze z zepsutą kanalizacją dokonano napadu. Przerażony prezes łżespółdzielni poszedł w ślady Nikity Psowa. W administracji domu oświadczył, że mieszkanie tak wysoko jest bardzo niewygodne, a do tego przeszkadza mu wilgoć od przelatujących pod oknami chmur.

W ciągu trzech dni drapacz zupełnie opustoszał. Kołokołamczycy wrócili na stare śmieci. Przez pewien czas pozostawała jeszcze milicja, lecz i ona się wyniosła.

Stopniowo rozkradziono całe wyposażenie cudownego budynku, aż pozostał tylko szkielet. Czarne kwadraty okien smutno patrzyły na gęste lasy i jeziora okolic Kołokołamska, a miasto gubernialne nie odbijało się już w oknach 25 piętra.



WASYLIŚŁAW ŁACHANIA

Dawno już Kołokołamsk nie widział w tak silnym podnieceniu grabarza Wasyliśława Łachani. Gdy ów przechodził przez ulicę Małą Byłą, to aż się chwia!ł, choć przez dwa ostatnie dni nie wypił ani kropli.

Wchodził kolejno do wszystkich domów i oznajmiał współobywatelom najnowszą wieść:

– Koniec świata. Potop. Rozwarły się czeluści niebieskie. W mieście gubernialnym od siedmiu dni i siedmiu nocy leje jak z cebra. Już dwóch wzorowych pracowników poszło na dno. Apokalipsa! Zgubę nam bolszewiki zgotowali! Otwórzta oczy!

I drżącą ręką Łachania wskazał na niebo. Nad miasto nadciągały gęste, fioletowe chmury. Horyzont grzmiał i ciskał krótkie i wściekłe błyskawice.

Wrażliwy obywatel Pferd z domu nr 17 znacząco rozwinął wieść Łachani. Według zdobytych przez niego informacji Moskwa została już zatopiona, a rzeki wszędzie wystąpiły z brzegów, w czym on – obywatel Pferd – widział karę niebios. Kiedy zaś do grupki obywateli trwożliwie wpatrujących się w górę podbiegła Sycylia Pietrowna w pomarańczowej flanelowej podomce i oznajmiła, że o nadchodzącym potopie już w zeszłym tygodniu mówił jej pewien znajomy komunista z centrali, w mieście wybuchła panika.

Kołokołamczycy kochali życie i nie chcieli ginąć w kwiecie wieku. Zaczęły mnożyć się projekty poświęcone ocaleniu miasta od potopu.

– Może przeniesiemy się do innego miasta? – rzekł Nikita Psow, najmniej rozgarnięty spośród obywateli.

– Lepiej strzelać z armat w niebo i rozgonić chmury! – podsunął monsieur Szczerow.

Obie propozycje jednakże odrzucono. Pierwszą – po błyskotliwym przemówieniu Łachani, który dowiódł, że cały kraj jest już zatopiony i właściwie nie ma dokąd się przeprowadzić. Z drugiej, wcale sensownej propozycji, nie można było skorzystać z powodu braku artylerii.

Wówczas to przepełnione nadzieją oczy wszystkich kołokołamczyków zwróciły się w kierunku kapitana Noego Archipowicza Interesenki, który stał nieco z boku od tłumu i z zadowoleniem kręcił swoje triumfalne wąsy. Kapitan słynął z wielkiego doświadczenia życiowego i natychmiast znalazł wyjście.

– Arka! – oznajmił. – Trzeba budować arkę!

– Noe Archipowiczu! – zawrzał tłum w przeczuciu wielkich wydarzeń.

– Rachunkom nie hołduję – uciął kapitan Interesenko. – Będziecie dziękować po wybawieniu.

Na głowy obywateli spadły pierwsze krople deszczu. To podziało jak bodziec – budowę rozpoczęto bezzwłocznie. Użyto wszystkich materiałów budowlanych, jakie tylko zdołano znaleźć w mieście.

Za plan roboczy posłużył rysunek Doré z osiemnastofuntowej Biblii Siomki, którą przyniósł diakon żywej cerkwi ojciec Ogniepokłonnikow. Pod wieczór deszcz się wzmógł, trzeba było pracować pod parasolami. Do wykonania dachu arki użyto trumien Łachani, bowiem zabrakło tarcicy. Dach mienił się srebrem i złotem zdobień.

– Rachunkom nie hołduję! – mówił kapitan Interesenko.

Miał na sobie nieprzemakalny sztormiak i zydwestkę. Mżyło całą noc. O świcie zaczęli się zjeżdżać pasażerowie arki. I dopiero wtedy obywatele zrozumieli, co oznacza dziwne powiedzenie kapitana „rachunkom nie hołduję”. Rachunkom trzeba było hołdować cały czas. Noe Archipowicz kasował za wszystko: za wejście, za bagaż, za prawo zabrania na pokład pary czystych lub nieczystych zwierząt i za miejsce na rufie, gdzie, według zapewnień kapitana, miało mniej bujać.

Od pierwszych pasażerów, wliczając monsieur Szczerowa, Pferda i Sycylię Pietrownę, która zmieniła poranny kaftanik na brezentową garsonkę, obrotny kapitan skasował po 80 rubli. Jednak później Noe Archipowicz postanowił nie przyjmować sowieckiej waluty i brał wyłącznie carską. Nikita Psow rozzuł się przed arką i wyjął z cholewy stówkę z „Katią”, za co wraz z małżonką i wiecznie zielonym fikusem został wpuszczony do środka.

Przed arką zrobił się straszny tłok. Golnawszy wódki, kapitan oświadczył, że po potopie obrót pieniężny się załamał, zatem żadnych pieniędzy mu nie potrzeba, a darmo ratować kołokołamczyków nie zamierza. Z trudem go przekonano, by w zamian za bilet przyjmował rzeczy. Stał przy wejściu na statek i pogardliwie oglądał pod światło czyjeś diagonalowe spodnie, podrzucał na ręce dmuchane złote bransoletki i godził się na maszyny do szycia, pierwszeństwo dając nożnym.

Zaokrętowaniu towarzyszył hałas i krzyki. Pędzeni deszczem, który nieco przybrał na sile, obywatele energicznie napierali. Okazało się, że pojemność arki ograniczona jest do dwudziestu dwóch osób, wliczając w to sternika Interesenkę i jego pierwszego oficera Łachanię.

– Arka nie jest z gumy! – krzyczał Noe Archipowicz, broniąc wejścia swoją szeroką pierś.

Obywatele biadolili:

– Idźcie w głąb arki! Na przedzie jest swobodniej!

– Obywatele, zróbcie miejsce dla klatki z wronami! – wołał Wasylisław Łachania.

Kiedy wrony zostały wniesione, kapitan Interesenko zobaczył w oddali kierownika kursów śpiewu i deklamacji Syndyka-Buhajewskiego, za którym w pełnym składzie podążali uczniowie kursów.

– Arka odpływa! – w przerażeniu zakrzyknął kapitan. – Obywatele! Proszę zejść ze stopni. Rachunkom nie hołduję!

Drzwi zatrzęsnęły się. Deszcz groźnie stukał o metaliczny dach. Z zewnątrz dochodziły głuche wrzaski skazanych na zgubę kołokołamczyków. Rozpoczęła się wielka żegluga.

Trzy dni i trzy noce wybrani kołokołamczycy przesiedzieli w arce, skąpo się odżywiali, milczeli i z niepokojem czekali jutra.

Czwartego dnia wypuścili przez właz w dachu wronę. Odleciała i nie wróciła.

– Jeszcze za wcześnie – powiedział Łachania.

– Wody jeszcze nie opadły! – wyjaśnił kapitan.

Piątego dnia wypuścili drugą wronę. Ta wróciła po pięciu minutach. Do jej lewej nóżki przywiązana była karteczka:

„Wyłażcie, durnie”. I podpis: „Syndyk-Buhajewski”.

Wybrani kołokołamczycy rzucili się do wyjścia. Słońce ich oślepiło. Arka, cała w kurzu, stała na miejscu jej budowy – pośrodku Małej Byłej, obok piwiarni „Przyjaciół Żołądka”.

– Przepraszam bardzo, a gdzie ten potop? – zakrzyknął urażony Pferd. – To wszystko Łachania zmyślił.

– Ja zmyśliłem? – oburzył się Wasylisław Łachania. – A kto mówił, że rzeki wystąpiły z brzegów, że Moskwa już utonęła? Też Łachania?

– Rachunkom nie hołduję! – zagrział Interesenko. I uderzył grabarza wroną po rumianej twarzy. Rozrachunkom z autorem potopu hołowano do późnej nocy.



MIASTO I JEGO OKOLICE

Nie widząc potrzeby otaczania tajemnicą historii Kołokołamska, podajemy do wiadomości naszych czytelników, iż:

- a) Kołokołamsk rzeczywiście istnieje;
- b) nie ma nic wspólnego z Wołokołamskiem i
- c) znajduje się dokładnie pomiędzy RFSRR a USRR, przez co nie został naniesiony na mapy geograficzne żadnej z tych przyjaznych i sojuszniczych republik. Winić za to należy wyłącznie naszych geografów.

Jeśli zaś chodzi o dziennikarzy, felietonistów i kronikarzy życia prowincjonalnego, to oni, nawet zmierzając do Kołokołamska, przez dziwny zbieg okoliczności zazwyczaj trafiali do Jałty lub Kisłowodzka, które to miasta opisywali z zapalem godnym lepszej sprawy.

Autorowi jednak wspólnie z artystą K. Rotowem udało się trafić do Kołokołamska, pomieszkać tam w hotelu „Riażsk” i nawet sporządzić generalny plan tego zadziwiającego miasta.

Jak widać z planu, znaczne miasto Kołokołamsk rozłożyło się swobodnie i malowniczo na lewym brzegu płytkiej rzeki Zbrui. W XIV wieku stajenny kołokołamskiego księcia Andrieja Siebielubskiego, upiwszy się bizantyjską wódką, upuścił do rzeczki uprząż księżęcego ogiera. Uprząż zatonała i od tego czasu rzeka z ukraińska zwie się „Zbruja”.

Od tego wydarzenia minęły wieki, plac Siebielubski dawno przemianowano na Członkowski, a legendę o zatopieniu uprzęży zna tylko obywatel Psow Starszy, który ją nam opowiedział przy butelce w piwiarni „Przyjaciel Żołądka”.

Do rzeki Zbrui wpada maleńka rzeczka Wiżka. Nie udało się o niej niczego dowiedzieć, ponieważ Psow Starszy zgadzał się na kontynuowanie swoich

wspomnień tylko po odwiedzeniu wszystkich piwiarni położonych przy ulicy Wielkiego Komitetu Miejscowego.

Odwiedziwszy na koszt gości piwiarnie „Sanitas”, „Na Spotkanie Świtu”, „Małoruś”, „Ogniste Pożegnanie”, „Głosy Przeszłości” i piwiarnię zakładu im. Jemieliana Pugaczowa, Psow Starszy nie spełnił pokładanych w nim nadziei, bowiem stracił dar mowy.

Wspomniana ulica Wielkiego Komitetu Miejscowego jest główną arterią miasta. Łączy stację kolejową z placem Członkowskim, gdzie wznosi się szkielet wieżowca, którego historia jest już czytelnikowi znana. Następnie ulica Wielkiego Komitetu Miejscowego schodzi ku rzece. Promem sterowanym przez kapitana N. Interesenkę można przepłynąć na przeciwległy brzeg i trafić do gęstego lasu, który otacza miasto i skutecznie utrudniał niegdyś Tatarom wydanie Kołokołamska na pastwę ognia, miecza, głodu i moru, i niekończących się grabieży.

Zagłębiwszy się w las, łatwo natknąć się na chałupnika-samotnika krawca Słobódczyka. Tutaj, w borze, chowa się przed podatkami, lecz mimo to za szycie bierze tak drogo, że od kołokołamczyków otrzymał przydomek Słobódczyka-rozbójnika. Na prawo, na wzniesieniu, góruje brygada byłych zakonnic pod wezwaniem „Pierwszej Komuny”. Swoje produkty zakonnice zbywają w spółdzielni znajdującej się w zaułku Remanentowym, niedaleko rogatki Ojców Bezimiennych.

Wschodnia część miasta słusznie szczyli się dwiema ulicami Byłymi – na styku których zbudowano arkę – Bezmeldunkową i Kataklyzmową. Tę ostatnią nazwano tak niedawno na cześć kolejnego trzęsienia ziemi w Japonii.

Z zaułków największym jest tutaj zaułek Pożądania z pięknymi łaźniami Indywidualnymi. Pomijając milczeniem niczym się niewyróżniające zaułki Małosklepowy, Małosolny i Małoogarnięty, zauważmy skazę na mapie miasta – zaułek Przygody, który nazwę swoją otrzymał z powodu mających miejsce

w nim co wieczór napadów rabunkowych na spóźnionych przechodniów, którzy zapuszczają się tam w stanie nietrzeźwości.

Z osobliwości wschodniej części miasta odnotujmy rosyjsko-ukraińskie towarzystwo „Precz z analfabetyzmem” i płonący dom przy rogatce Ojców Bezimiennych. Budynek ten płonie codziennie już od pięciu lat. Każdego ranka podpala go właściciel domu, komendant straży pożarnej Ogień-Buchajew, aby dać pracę powierzonej mu straży pożarnej.

Południowa, czyli Przydworcowa część Kołokołamska odznacza się pięknem położonego na niej bulwaru Starego Reżymu. Poza tym jest to najbardziej elegancka część miasta. Znajdują się tutaj plac Kooperatywu Pańskiego z Łżespółdzielnią „Swójtrud” pod przewodnictwem monsieur Szczerowa, zmilitaryzowane kursy śpiewu i deklamacji Syndyka-Buhajewskiego, zabytkowa cerkiew Ujawnienia Chrystusa, ożywiona ulica Higroskopijna ze wspaniałym, aczkolwiek, niestety, wciąż jeszcze nieukończonym budynkiem uzdrowiska „Na zdrowie!”.

Na placu Kooperatywu Pańskiego szczególnie uderza mogiła nieznanego prywaciarza. Na początku NEP-u do Kołokołamska przyjechał po końskie włosie nikomu nieznanym prywaciarz. Cały dzień jeździł po mieście, skupując towar. Pod wieczór na placu nagle spadł z dorożki i zmarł. Dokumentów przy nim nie znaleziono. Nie chcąc pozostawać w tyle za Paryżem, Brukselą i Warszawą, które urządziły u siebie mogiły nieznanym żołnierzom, jednak nie mając możliwości zdobycia żołnierza (nikt z kołokołamczyków nigdy nie walczył), mieszkańcy pochowali nieznanego prywaciarza na placu i zapalili na jego mogile wieczny ogień. Co tydzień, w soboty, Słobódczyk-rozbójnik w paradnej żałobnej czapce przeprawia się promem do centralnej części miasta i przyjmuje przy mogile nieznanego prywaciarza zamówienia na szycie.

Zachodnia część miasta składa się z trzech ulic i jednego zaułka. Szeroki, prosty jak strzała prospekt Podwyższenia Krzyża Pańskiego przyozdobiony jest

nową cerkwią Podwyższenia Krzyża Pańskiego. Obok cerkwi mieści się rosyjsko-ukraińskie towarzystwo „Precz z uściskiem dłoni”.

Ulica Jednomysłna i jej przedłużenie – Jednogłośna – łączą się z południową częścią miasta – zaułkiem Przykrym. Między Jednomysłną i Jednogłośną wznosi się wieża przeciwpożarowa i posterunek milicji.

Najmłodsza część miasta – Zazbrujna – leży na cyplu, utworzonym przez Wiżkę i Zbruję, a główne zajęcie mieszkających tu obywateli najlepiej charakteryzują nazwy ulic.

Przyjeżdżają tu kołokołamczycy po wódkę w wielkie święta, kiedy spółdzielnia jest zamknięta.

Taki to więc jest Kołokołamsk, w którego istnienie, można mieć nadzieję, nikt teraz nie zwątpi.



STRASZNY SEN

Niegdyś mieszczanin, a obecnie przeciętny obywatel miasta Kołokołamsk Josif Iwanowicz Pokrętewko niespodziewanie dla samego siebie i wielu swoich znajomych napisał jeden z najciekawszych rozdziałów w historii miasta.

Wydawało się, że po Josifie Iwanowiczu Pokrętewce nie można się było spodziewać żadnej werwy. Lecz właśnie tacy są wszyscy kołokołamczycy. Nawet najcichszy z nich jest w stanie w każdej chwili zrobić coś szalonego lub heroicznego i tym samym po raz kolejny rozślawić Kołokołamsk.

Wszystko w życiu Josifa Iwanowicza szło gładko. Warzył pastę do butów „Afryka”, której jałowość zadziwiała wszystkich, a mając pod dostatkiem wolnego czasu, przesiadywał w piwiarni „Głosy Przeszłości”.

Niejasne jest, czy to woń pasty do butów wywarła na Pokrętewce swój zgubny wpływ, czy też jego świadomość zamroczył pieniący się porter, tak czy inaczej Josif Iwanowicz w nocy z niedzieli na poniedziałek miał sen, po którym poczuł się całkowicie rozbity.

Przyśniło mu się, że na styku Jednomyślnej i Jednogłośnej trafił na trzech działaczy partyjnych w skórzanych kurtkach, skórzanych kapeluszach i skórzanych spodniach.

– Wtedy oczywiście chciałem prysnąć – opowiadał Pokrętewko sąsiadom. – Ale oni stanęli na środku jezdni i pokłonili mi się w pas.

– Partyjni? – pokrzykiwali sąsiedzi.

– Partyjni! Stali i się kłaniali. Stali i się kłaniali.

– Uważaj, Pokrętewko – rzekli sąsiedzi. – Za takie wybryki nie głaszcze się po główce.

– Przecież to był tylko sen! – odparł Josif Iwanowicz, uśmiechając się.

– To nic, że tylko sen. Były takie przypadki... Uważaj, Pokrętewko, żebyś sobie biedy nie napytał!

I sąsiedzi ostrożnie oddalili się od producenta pasty.

Cały dzień Pokrętewko włóczył się po mieście i zamiast wyrabiać swoją „Afrykę”, radził się mieszkańców w sprawie tego, co mu się przyśniło. Zewsząd słyszał ostrzegawcze głosy, a wieczorem położył się z ciężkim sercem i przygnębioną duszą.

To, co mu się przyśniło, było tak straszne, że do południa nie śmiał wyjść na dwór.

Kiedy wreszcie wyszedł za próg swego domu, na ulicy czekała na niego grupka ciekawskich sąsiadów.

– No co, Pokrętewko? – zapytali niecierpliwie.

Pokrętewko machnął ręką i chciał czmychnąć z powrotem do domu, lecz odejść nie było tak łatwo, gdyż przewodniczący towarzystwa „Precz z uściskiem dłoni”, obywatel Precz-Wiśniowiecki, trzymał go mocno za talię.

– Widziałeś? – groźnie zapytał przewodniczący.

– Widziałem – zmęczonym głosem powiedział Pokrętewko.

– Ich?

– We własnej osobie.

I Pokrętewko, wzdychając, opowiedział sąsiadom drugi sen, który był jeszcze groźniejszy od poprzedniego. Dziesięciu działaczy partyjnych w skórzanych ubraniach, z brezentowymi teczkami kłaniało się mu, bezpartyjnemu Josifowi Iwanowiczowi Pokrętewce, do samej ziemi na placu Kooperatywu Pańskiego.

– No ładnie, Pokrętewko – powiedział Precz-Wiśniowiecki. – Za dużo sobie pozwalasz!

– Co to ma być, obywatele – darli się sąsiedzi. – Tak to on całemu Kołokołamskowi biedy napytał.

– Kto to widział, żeby dziesięciu partyjnych kłaniało się jednemu bezpartyjnemu?

– Pyszny się stałeś, Pokrętewko. Chcesz się nad wszystkimi wywyższać.

Za Josifem Iwanowiczem wstawił się przewodniczący łezpółdzielni monsieur Szczerow.

– Przecież to był tylko sen, obywatele! – krzyczał wykończony Pokrętewko. – Do czego mi to niby potrzebne? To się tylko śniło!

– Obywatele! – powiedział. – Bez dwóch zdań Pokrętewko postąpił nieetycznie. Ale czy powinniśmy go od razu piętnować? Twierdzę, że nie. Może na noc zjadł coś niedobrego. Wybaczymy mu po raz ostatni. Powinien sobie oczyścić żołądek. I niech zaśnie spokojnie.

Przewodniczący łezpółdzielni swoją rozwagą zdobył w mieście wielkie zaufanie. Zebrani zgodzili się z nim i postanowili poczekać do następnego ranka.

Przestraszony Pokrętewko zrobił sobie dokładne czyszczenie żołądka i zasnął z uczuciem przyjemnej słabości w nogach.

Całe miasto czekało na jego przebudzenie. Tłumy kołokołamczyków wypełniły ulicę Bezdokładną, starając się przedostać bliżej rogatki Ojców Bezimiennych, gdzie znajdował się skromny domek producenta pasty.

Pokrętewko całą noc smacznie sobie spał. Śniło mu się na przemian, że doi krowę, maluje pastą taboret i gania gołębie. Lecz o świcie zaczął się koszmar. Z zadziwiającą jasnością zobaczył, że szosą gubernialną podjechał do niego automobil z przewodniczącym Gubernialnego Komitetu Wykonawczego, który wysiadł z samochodu, ukląkł na jedno kolano i pocałował Pokrętewkę w rękę.

Pokrętewko z jękiem wybiegł na ulicę.

Różowe słońce doskonale oświecało bladą twarz mistrza pasty.

– Widziałem! – krzyknął, padając na kolana. – Przewodniczący komitetu wykonawczego pocałował mnie w rączkę. Wiążcie mnie, prawosławni!

Do nieszczęśnika zbliżyli się Precz-Wiśniowiecki i monsieur Szczerow.

– Sam rozumiesz – zauważył Precz-Wiśniowiecki, zarzucając sznury na Josifa Iwanowicza. – Służba nie družba.

Tłum potakująco szemrał.

– Proszę – z gotowością rzekł Pokrętewko, rozumiejący wagę swej winy. – Róbcie, co chcecie.

– Trzeba go sprzedać! – zauważył, jak zwykle rozsądnie, monsieur Szczerow.

– Kto kupi takiego defektywnego? – zapytał Precz-Wiśniowiecki.

I jakby w odpowiedzi na to, zadzwoniły dzwoneczki niezliczonych trojek i różowy obłok śnieżnego pyłu uniósł się na szosie Gubernialnej.

To jechała z Witebska na Kamczatkę karawana reżyserów filmowych na zdjęcia do filmu „Chatka nad Bajkałem”. Na przedzie galopował spocony główny reżyser.

– Co to za miasto? – zakrzyknął chrypliwie, wychylając się z kibitki.

– Kołokołamsk! – odkrzyknął z tłumu Nikita Psow. – Kołokołamsk, wasza jaśnie wielmożność!

– Potrzebuję do filmu idioty. Są tu idioci?

– Jest jeden na sprzedaż – przemile odpowiedział monsieur Szczerow, zbliżając się do kibitki. – Proszę! Pokrętewko!

Wzrok reżysera prześlizgnął się po tłumie, zdradzając pełną satysfakcję. Wachlarz możliwości był niezwykle szeroki. Co się zaś tyczy Pokrętewki, to głównego reżysera on po prostu oczarował.

– Dawać go! – ryknął główny.

Związanego Pokrętewkę położono w kibitce i karawana jak wichur wyleciała z miasta.

– Nie wspominajcie mnie źle! – doleciały z podnoszącej się zamieci słowa Pokrętewki.

A zamieć przybierała na sile i do wieczora nawiała głębokie zaspę. W nocy niebo wypogodniało. Jak jądro wytoczył się księżyc. Szyby okienne zarosły mroźnymi palmami. Miasto spało spokojnie i wszystkim śniły się zwyczajne, niegroźne sny.